

## PAMIĘTNIK

### I.

*Cóż uczynię z piasku tego garstką? – pomyślałem – i na cóż ją odjąłem! Azali lepiej jest nie stąpać po ziemi tej, ażeby się boleści nie wzmagaly na śladach naszych?*

„Garstka piasku”, C. K. Norwid

Pretensje młodości, w której uważałem, że tylko wyznania takie jak św. Augustyna czy Jana Jakuba Rousseau są godnymi świadectwami, dawno minęły. Dziś skromniej patrzę na zadanie, którego się podejmuję. Pretensje te minęły, a z nimi zmieniła się bardzo temperatura spojrzenia na to, co przeżyłem i czego byłem świadkiem. Mimo to, zamiar pisania pamiętników trwał we mnie zawsze, choć w różne przystrajał się formy. Początkowo uważałem, że może osobiste, tak zwane „wewnętrzne życie” będzie najciekawszym tematem tych wspomnień. Dziś uważam, że raczej środowisko – definitywnie rozbite – i czasy, które dosyć świadomie przeżywam powinny być przedmiotem wspomnień, dla których usiłować będę wytrzebić zakłamanie. Czy potrafię to zrealizować? Jeżeli potrafię nie kłamać, to brak kompozycji w tych stronicach będzie wybaczalny. Nie jestem bowiem w stanie narzucić sobie jakiegokolwiek metody pisarskiej i zapewne dlatego nie zostałem pisarzem, lecz zwróciłem się do kompozycji.

Piszę dorywczo. Czy powstanie z tego czytelna całość, nie wiem. Chciałbym się ustrzec literackich pretensji, pozostawić przede wszystkim dokument, lecz tego, z powodu braku pamięci i nieumiejętności ciągłego, precyzyjnego myślenia, nie potrafię zrobić. Jako wrażeniowiec błąkam się w pojęciach i słowach, w podobny niestety sposób jak w muzyce. Liczę na intuicję pewną, ostrość widzenia, jeżeli rażące nieścisłości i nieprawdziwe dla innych wnioski czy obrazy się tu zakradną, to wyniknie to z braku metody – i co za tym idzie, braku dyscypliny, która nie jest żadną wolnością, lecz czyni mnie niewolnikiem wrażenia. Stąd brak ścisłości, stąd imaginacja, tworząca zbyt duże skróty i uogólnienia, stąd lenistwo podsuwające niezrozumiałe przenośnie i asocjacje.

Artysta jest skłonny uważać siebie za temat godny uwagi. Jest najlepiej znanym sobie materiałem, w którym odbija się rzeczywistość, z której czerpie to, co w sztuce wyraża. Fałszywa skromność byłaby tu kłamstwem. Usiłowanie niepisania o sobie groziłoby mi tworzeniem fikcji. Tak więc, na samym wstępie napotykam sprzeczności, których nie próbuję tłumaczyć! Ludwik Puget<sup>1</sup> mawiał, że kobieta, pies i artysta lubią, by się nimi zajmować. Niech i to beznamiętny czytelnik przyjmie za wytłumaczenie postawy, nie będącej zresztą unikatem.

Jestem produktem typowo rodzinnym, w takim pojęciu rodziny, jakie od starożytnych czasów, poprzez długie wieki chrześcijaństwa pozostało w Europie od wieków średnich. To pojęcie rodziny było wspólne chłopom, szlachcie i warstwie arystokratyczno-magnackiej. Łączyło się ściśle z pojęciem domu, siedziby, czyli tak zwanego gniazda. Było to pojęcie silniejsze od indywidualnych zachcianek i gustów pojedynczego członka rodziny. W im dawniejsze czasy sięgniemy, tym trudniej było się z tych pojęć wyłamać. Rozważać tu można, obok pojęć rodziny i domu, sprawę przynależności klasowej, czyli – jak to się dziś mówi – społecznej. Lecz w środowisku szlacheckim dominowało – od czasów feudalnych zapewne – pojęcie domu.

Domy-Gniazda były czymś tak przemożnym, że znaczyły więcej niż nazwisko. Potoccy byli z Krzeszowic, Łańcuta, Antonin czy Rymanowa – nazwy tych miejscowości były czymś precyzującym dokładnie przynależność danego członka rodziny. Łączyło się to z zakorzenionym głęboko snobizmem i rodzinnym, i – że tak to nazwę – „miejscowym”. Ażeby te sprawy znalazły tu to miejsce, jakie miały w życiu, będę musiał często powracać do spraw związanych ze snobizmem, w każdym razie w pierwszej części tych wspomnień, póki dom wyciskał decydujące piętno na moim życiu.

Dziś, gdy całe to życie definitywnie się skończyło, widzę z wielką ostrością dominantę tej klasy, z której, zdawało mi się przez długi czas, że zupełnie wyszedłem. Może zadziwi to czytelnika, gdy powiem, że za dominantę tę uważam właśnie snobizm. W każdym razie, gdy warstwa ziemiańska została rozbita – nie jest przypadkiem, że – wraz z utratą majątków – została uderzona w samo serce, przez wyrzucenie jej z domów, dworów i pałaców. Pozostawiona w swoich murach, nie przestałaby być klanem, nawet bez majątków – nawet gdyby mieszkała w pokojach służbowych i resztę domu zamieniła na pensjonaty czy oddała

---

<sup>1</sup> Ludwik du Puszet Puget (1877–1942), rzeźbiarz, publicysta i historyk sztuki. Blisko zaprzyjaźniony z rodziną Mycielskich, był przed wojną w Wiśniowej. Aresztowany przez Gestapo w kawiarni Domu Plastyków przy ul. Łobzowskiej w Krakowie 16 IV 1942 roku, został zesłany do Auschwitz i tam wraz z pozostałymi aresztowanymi wówczas kolegami rozstrzelany.

szkołom. Pozbawiona domów staje się wydziedziczonym mikroskopijnym proletariatem, którego członkowie będą już tylko tyle ważni, ile rzeczywiście walorami osobistymi reprezentują – bez oparcia o ten niepisany związek „urodzonych i posiadających”.

\* \* \*

Każdy z nas nie rodził się sam, lecz był od najwcześniejszego dzieciństwa następstwem szeregu pokoleń, w dwojaki sposób liczonych: systemem drzewa genealogicznego, czyli pokoleniami wstecz, ile ich się kto mógł doliczyć – oraz systemem, który nazywany „*les quartiers*”, polegającym na kolejnym dodawaniu: para rodziców, dwie pary dziadków, cztery pary pradziadków, osiem par prapradziadków, szesnaście par ich rodziców itd. Ośmiu tych prapradziadków i osiem ich żon tworzyło szesnaście tzw. „*quartiers*”. Przyjmując, że te szesnaście „*quartiers*” miał ojciec i matka dawało to noworodkowi trzydzieści dwie rodziny, sięgające historią swą głęboko w wiek XVIII. Od najwcześniejszych lat usiłowano mu te wiadomości przyswoić i zapoznać go z historią poprzedzających go pokoleń, według klucza, w którym, rzecz jasna, pomijano rodziny mniej znaczne.

Uderzyło mnie w czasie wojny 1939–45, gdy byłem na przymusowych robotach w obozach Trzeciej Rzeszy i pracowałem u różnych chłopów w Schleswig-Holsteinie<sup>2</sup>, jak tam zachowane i dokompletowane były we wszystkich rodzinach chłopskich dokumenty stwierdzające pochodzenie rodzin i „*quartiers*” aż po czasy Wallensteina<sup>3</sup>, za którego miało miejsce w tych stronach ostatnie wielkie zniszczenie wojenne. Hitleryzm, dbający o czystość rasy, pogłębił starania o skompletowanie owych papierów, tak, że w każdej rodzinie tamtejszego *Bauera*<sup>4</sup> czy *Grossbauera*<sup>5</sup> istniały drzewa genealogiczne i „*quartiers*” stwierdzające czysto aryjskie pochodzenie, z wykluczeniem przymieszki krwi żydowskiej przede wszystkim.

---

<sup>2</sup> W czerwcu 1940 roku Zygmunt Mycielski, który walczył w oddziałach polskich przy armii francuskiej na Linii Maginota w Lotaryngii dostał się do niewoli niemieckiej. Do 3 V 1945 roku przebywał w jenieckim obozie pracy Stalag Xa w rejonie Schleswig-Holstein w północnych Niemczech. Był stamtąd wysyłany do pracy na okolicznych gospodarstwach rolnych.

<sup>3</sup> Albrecht Eusebius Wenzeslaus von Wallenstein (1583–1634), pochodzący z Czech niemiecki przywódca i strateg wojenny z czasów wojny trzydziestoletniej. W 1799 roku Friedrich Schiller opisał jego dzieje w *Trylogii o Wallensteinie i wojnie trzydziestoletniej* (*Wallenstein-Trilogie*).

<sup>4</sup> Niem. rolnik, gospodarz.

<sup>5</sup> Właściciel gospodarstwa rolnego dużych rozmiarów.

Wiele rodzin szlacheckich nie miało u nas możliwości skompletowania takiego dokumentu, jak to mógł uczynić każdy chłop w krajach mniej często niszczonej i nawiedzanej przez wojny. Rodziny arystokratyczne usiłowały jednak sięgać w jak najdalszą przeszłość i zadanie to miały ułatwione dzięki małżeństwom rodzinnym, splatających na przykład wielokrotnie Potockich z Branickimi, co dawało w rezultacie ustawicznie powtarzających się tych samych pradziadków i prababki w sąsiednich „klatkach”. [Zob. Ilustracja 1: Wykaz koneksji rodzinnych rodziców Zygmunta Mycielskiego od strony „ojczystej” i „macierzystej”]

Piszę o tym tak wiele, bo dopiero gdy się to zrozumie, stanie się jasne zdanie, że „nie rodziliśmy się sami” lecz każde dziecko było następstwem cech przedstawicieli dawniejszych pokoleń, rozwidlających się przy każdym nazwisku antenatów na szeregi braci i siostr, z których potomstwem utrzymywano bliskie stosunki, lub których się widywało z okazji pogrzebów i ślubów w możliwie licznych komplecie. Popularnie nazywano w domu ten stan rzeczy: „Nie wyleciałeś sroce spod ogona”.

W Polsce, dla przyczyn które łatwo jest zanalizować, sprawy te przybrały charakterystyczny obrót. Nigdzie tak jak u nas i może na Węgrzech sprawa szlacheckich nie przybrała tak ostrego, a przy tym powierzchownego znaczenia. Odbija się to zresztą silnie w naszej literaturze – a te notatki będą może ostatnim śladem długiego istnienia tych spraw – których zniknięcie napawa mnie prawdziwym zadowoleniem!

Za moich czasów dziecięce dziecko miało nos starosty konińskiego, dystrakcję prababci Alfonsyny, katar kiszek wuja Jula, krótkowzroczność stryja Jerzego, zamiłowania historyczne wuja Stasia lub ornitologiczne po Wodzickich czy Dzieduszyckich. Wszystko to było klasyfikowane bezbłędnie, porównywane do portretów i przechowywane w ustnej tradycji, podobnie jak gromadzone w domach meble, porcelany, srebro, biblioteki, obrazy i setki drobiazgów, z których każdy miał swoją historię i przestawał być prywatną własnością, by stawać się historycznym depozytem rodzinnym. Nawet klejnotów się nie przerabiało, nie dostosowywało do obowiązującej mody, bo każdy sznurek pereł, rubin czy szmaragd był skądś, po kimś lub od kogoś, był prezentem ślubnym lub dziedzictwem, figurującym na portrecie prababci Karoliny czy na sztychu podskarbiego Moszyńskiego.

	Teresa Oborska +1862	Klementyna Potocka 1811-1878	
	Marceli Potocki +1851		Alfonsina Mięczyńska 1836-1919
	Amiela Bielska		
	Jędrzej Mięczyński +1806	Matylda Mięczyńska	
Strona m c j e n i e	Justyna Działczyńska +1844	Paulina Działczyńska +1856	
	Kawery Działczyński 1758-1819		Włodzisław Działczyński 1825-1899
	Salomea Trzebnińska +1787		
	Tadeusz Działczyński 1729-1777	Józef Działczyński 1777-1845	
	Krzyszyna Sadowska (II v. Jelska)		
	Jan Moszyński	Joanna Moszyńska (II v. Turcynowa) (II żona Malinowska)	
	Zofia Romiszewska		Józefa Moszyńska 1820-1897
	Jędrzej Moszyński	Piotr Moszyński 1900-1879	
	Konstancja Cyjewska	Katarzyna Patelska	
	Paweł Patelski 1797 + <del>1877</del> 1891		
	Urszula Wielopolska +1803		
	Alexander Bremek +1808	Józef Bremek 1780-1894	Józef Bremek 1819-1889
			Zygmunt Sankel 1844-1907
			Maria Sankelówna 1877-1951.
		Teresa Wezyk	Anna Stadnicka +1852
	Franciszek Stadnicki		Gabryela Małachowska 1800-1862
	Ewa Męcińska x1741-		
	Mikołaj Małachowski 1741-1784	Stanisław Małachowski +1849	
	Alexandra Tamowska		Walerya Tamowska 1830-1914
	Waleryan Strzyżowski	Walerya Strzyżowska 1782-1849	
	Rozalia Czačka		Bohdan Jan Tamowski 1805-1850
	Jan Jacek Tamowski +1807	Jan Feliks Tamowski 1777-1842	
	Anna Siemienińska		
	Stanisław Jabłonowski	Petronela Jabłonowska +1859	
	Ludwika Wielopolska		Karolina Wodnicka 1800-1849
	Elżbieta Wodnicka +1805	Józef Wodnicki 1775-1847	
	Anna Kofudy Kofudka		
	Antoni Miemiejński	Elżbieta Miemiejńska 1772-1849	
	Franciszka Kozimińska 1792-1810		
	Józef Mycielski +17.X.1789	Michał Mycielski +1815	Józef Mycielski 1754-1867
			Franciszek Mycielski 1832-1901
			Jan Mycielski 1858-1926

II. 1 Wykaz genealogii rodziny Zygmunta Mycielskiego od strony matki i ojca (według tzw. „quartiers”), zapisany w *Pamiętniku*, s. 7. Archiwum Zygmunta Mycielskiego, Biblioteka Narodowa, sygn. III 14360.

Dzięki temu stanowi rzeczy, bratowa mojej matki żyje od czternastu lat w Lizbonie tylko dlatego, że uciekając z domu w 1939 roku wzięła jeden szmaragd wielkości pudełka od zapalek, pochodzący z kolekcji owego Fryderyka Moszyńskiego, wnuka Augusta II-go. Kolekcje jego rzeczy rozeszły się w rodzinach mi bliskich (podobnie jak to wszystko, co z początkiem XIX wieku przywiozła z Włoch do Polski Waleria ze Stroynowskich Tarnowska i co stanowiło główny trzon zbiorów Tarnowskich w Dzikowie). Można sobie wyobrazić, jaki stąd wynikał stosunek do ruchomości, lecz jeśli tak się rzecz miała, co dopiero mówić o domach z ruchomościami i o majątkach. Tu niepisane prawa były jeszcze surowsze, działy rodzinne czy interesy ślubne były nietykalnym tabu, sprawy spadku czy posagu nabierały znaczenia – o którym nie waham się powiedzieć, że rozrastało się ono jakby sprawa ogólnostanowa, ogólnoklanowa, ogólnokrajowa nawet, gdy chodziło o duże fortuny i historyczne nazwiska. W wypadkach grożącego bankructwa dyskusje i sposoby znalezienia na nie rady przybierały formy narad i zjazdów całej rodziny – która systemem pożyczek, wydziedziczeń, ubezpieczeń, brania pod kuratelę czy bogatych ożenków próbowała uniknąć katastrofy.

Aby do takich katastrof nie dopuścić organizowano przy dużych majątkach instytucje nietykalnych ordynacji czy fundacji takich jak Ossolineum, którego kuratorem był za mej pamięci Andrzej Lubomirski. Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie, Czapskich czy Czartoryskich w Krakowie. Ordynat łańcucki czy nieświeski, właściciel Wilanowa czy Pałacu Błękitnego w Warszawie, Zdzisław Tarnowski w Dzikowie, czuli się powołani do przekazania swego dziedzictwa, zamku i zbiorów w sposób, który psychologicznie bliższy był panom feudalnym niż mentalności bankiera, choćby ten ostatni miał środki do nabycia największych posiadłości ziemskich czy zbiorów. Można by sądzić, że podobne jest nastawienie u spadkobierców fortun przemysłowych, domów handlowych i banków, lecz nie. Mentalność dużych właścicieli ziemskich była bliższą przywiązania chłopca do swej zagrody niż rzutkiego przemysłowca, dla którego istotą rzeczy jest rentowność przedsiębiorstwa, a nie jego niezmienność i trwałość. Te cechy posiadało wprawdzie wiele rodzin mieszczaństwa i burżuazji zachodniej, lecz sam fakt operowania kapitałem powodował w najstarszych domach konieczność stosowania się do panujących koniunktur ekonomicznych, przez co był powodem większej giętkości i ruchliwości mieszczaństwa. Arystokracja nasza natomiast, wskutek istniejącej w praktyce zasady, która podporządkowywała jej myślenie idei gniazda, domu i otaczającej go ziemi, stała się w lwiej części warstwą bierną, przywiązaną do ziemi, parającą się przy rozroście rodziny działami, testamentami i posagami. Można by na ten temat snuć

rozważania o podobieństwach i różnicach, jakie zachodziły w losie, rozwoju i zachowaniu się tej warstwy w różnych krajach europejskich, od Hiszpanii i Anglii po Rosję carską.

Rodzina, w której przyszedłem na świat jest typowym przykładem tych spraw. Po stronie tak ojca, jak i matki pozostała bliska pamięć wielkich majątków, dzięki którym małżeństwa obracały się od kilku pokoleń wśród pierwszych, jeżeli nie dziesięciu, to trzydziestu rodzin w Polsce.

Ojciec mój był wnukiem Józefa Mycielskiego, który posiadał bardzo wielkie majątki w poznańskim, z pałacem w Chocieszewicach i Rokosowie. Potomstwo owego Józefa, podzieliwszy te dobra uporało się z nimi w drugiej połowie XIX wieku, a dziadek mój Franciszek Mycielski ulokował swą bardzo jeszcze znaczną część schedy oraz posag żony w budującą się podówczas linię kolejową z Krakowa do Lwowa (linia arcyksięcia Karola Ludwika). Chciał zapewne upodobnić się w ten sposób do wielkich właścicieli ziemskich na Zachodzie, zwłaszcza we Francji i Anglii, gdzie w ciągu całego XIX wieku odbywał się proces przenoszenia majątku z nieruchomości wartości rolniczej na przemysłową i inwestycyjną. Lecz obracający sumami polskiego ziemiaństwa bankier Kirchmayer<sup>6</sup> zbankrutował, a z pozostałych resztek swej fortuny dziadek mój kupił majątek, który uważał za nędzny skrawek, około 1500 hektarów ziemi i lasu na Podkarpaciu, z dworem w Wiśniowej.

Kupiony z resztek majątku dziadka Franciszka dom w Wiśniowej był starą, Firleyowską<sup>7</sup> siedzibą, o grubych, zamczystych, półtorametrowej grubości ścianach. Franciszek Mycielski odnowił go około 1865 roku<sup>8</sup>, urządzając jednocześnie znajdującą się obok, czworoboczną, z początku XVII wieku oficynę. W oficynie mieściła się na parterze duża, sklepiona kuchnia, spiżarnia, dwa pokoje dla pralni i magła oraz około pięć pokoi służbowych. Na parterze zaś pięć pokoi gościnnych otaczających się, z których rozchodziły się do tych pokoi dziwne w swym planie, ciemne korytarze, zrobione całe w grubości muru. Olbrzymi jeden jedyny komin centralny trzymał całą tę kwadratową budowlę jakby w kleszczach i sięgał wśród grubych murów, które ogrzewał, do wszystkich pieców na parterze i piętrze. Idąc na

---

<sup>6</sup> Chodzi o Wincentego Marcina Kirchmayera (1820–1893), właściciela firmy handlowej przy Rynku Głównym 44 w Krakowie oraz domu bankowego „F. J. Kirchmayer i Syn”, które odziedziczył po ojcu. W 1866 roku Kirchmayer założył w Wiedniu spółkę zajmującą się skupowaniem dóbr rządowych. Po jej upadku został oskarżony o nadużycia i niewypłacalność, wytoczono mu proces i skazano na karę pozbawienia wolności. Bankructwo Kirchmayera pozbawiło oszczędności wiele rodzin, które powierzyły mu swoje pieniądze. Sprawa ta odbiła się szerokim echem w całej Galicji i monarchii austrowęgierskiej.

<sup>7</sup> Zanim Wiśniową w 1867 roku kupił dziad kompozytora, Franciszek Mycielski (1832–1901), majątek należał m.in. do rodziny Firleyów, która w XVI wieku wybudowała piętrowy dwór myśliwski z kamienia i cegły. Budynek był później przebudowywany, a w 1848 roku został częściowo zniszczony przez pożar.

<sup>8</sup> Mycielscy przebudowali dwór w latach 1870–1871.

strych, natrafiało się na dziwny prewecik<sup>9</sup>, umieszczony na podeście klatki schodowej wiodącej z pierwszego piętra na strych. Strych był ogromny, a łączące się w nim kominy tworzyły łuki przypominające jakąś gotycką konstrukcję.

Oficyn i lamusów takich było jeszcze wiele na Podkarpaciu w czasie mego dzieciństwa. W ciągu dwóch wojen, które pamiętam, grube ich mury popękały i zaciekły. Nie utrzymywane rozlecały się, pozostawiając ruiny potężnych swych murów.

Ogród był stary i piękny, założony też w XVII w., ze szpalerami grabowymi, lipami z tego czasu, a podobno 1000-letnimi dębami. Całe to duże obejście, ze starymi stajniami, piwnicą, oranżerią, strzyżonym szpalerem zamykającym ogród, końmi cugowymi i owym dużym domem zwanym „pałacem” postawił mój dziad na stosunkowo szerokiej stopie jako styl utrzymania i poziom życia. Utrzymywano jeszcze wtedy w Wiśniowej stosunki z pierwszymi majątkowo rodzinami w ówczesnej Galicji. Lecz już ojciec mój i jego rodzeństwo uważali się za bardzo uboższych. Wybudowano jeszcze dużą kaplicę z grobowcem rodzinnym na trzydzieści osób, wykuto duży herb z dziesięciopalkową hrabiowską koroną, który to pruski tytuł kupił u Wilhelma I mój pradziad w poznańskim. Brat ojca, historyk sztuki, profesor Jerzy Mycielski utrzymywał nadal stosunki z pierwszymi dziesięcioma zamkami w Polsce, lecz ojciec powtarzał nam stale „wedle stawu grobla” i usiłował tak pokierować, byśmy się nie zadawali z bogatszymi od siebie, lecz utrzymywali stosunki z tymi, którzy niewiele od nas różnili się majątkowo.

Sytuacja w rodzinie mojej matki była podobna, choć usposobienia i charaktery rodzinne były całkiem inne.

Pradziad Szembek<sup>10</sup> stracił ogromną ukraińską fortunę swojej żony Moszyńskiej, ojciec mojej matki<sup>11</sup> usiłował ją podreperować, żeniąc się z jedną z większych w Polsce dziedziczek (mówiło się zawsze *héritiere*), jedną z czterech córek ordynata Włodzimierza Dzieduszyckiego, którego nazywaliśmy Excellencją lub „*Son Excellence mon grand père*”. Lecz fortuna mojej babki nie wytrzymała Szembekowskiego utracjusztwa. Gdy już mało co pozostało, przeniósł

---

<sup>9</sup> Toaleta.

<sup>10</sup> Józef Maciej Szembek (1818–1889), pradziad kompozytora był żonaty z Józefą z Moszyńskich (1820–1897).

<sup>11</sup> Zygmunt Szembek (1844–1907) ożenił się z Klementyną z Dzieduszyckich (1855–1929), najstarszą z czterech córek ordynata poturzyckiego Włodzimierza Dzieduszyckiego (1825–1899), twórcy Muzeum Przyrodniczego we Lwowie.



się mój dziadek na Capri, a babka macierzysta podróżowała po Egipcie, Grecji i Azji Mniejszej, przysyłając nam stamtąd skrzynie mandarynek, pomarańczy, daktyli i rodzynek.

Zainteresowania intelektualne w obu rodzinach, tak po macierzystej jak i ojcowskiej stronie, były duże. Po stronie ojca, szwagier dziadka prof. Stanisław Tarnowski, znany historyk literatury, trząśł uniwersytetem krakowskim i partią konserwatystów. Bywali wtedy w Wiśniowej, obok Stanisława Tarnowskiego, obaj bracia Morawscy, Stanisław Koźmian, historyk Karol Potkański<sup>12</sup> – był to tak zwany „sojusz hrabiów z profesorami uniwersytetu” – który na przełomie XIX i XX wieku wydał piękny okres „kultury krakowskiej” z Akademią Umiejętności na czele, a strasznym dzieckiem, Stanisławem Wyspiańskim w ogonku. Nadchodziły czasy „Młodej Polski”, od której odżegnywano się w rodzinie ojca, nadchodził okres Przybyszewszczyzny i „Zielonego Balonika” Boya, lecz w Wiśniowej dyskutowano raczej o przyczynach upadku powstań w 1830 i 1863 roku, grano za młodych lat babki komedie Musseta, śpiewano pieśni i duety Schumanna i rozmawiano bez przerwy i ciągle, z krzykami i wielkim temperamentem o sprawach krajowych, politycznych, rolniczych, o hodowli i wyścigach konnych.

Matka moja należała do innego pokolenia. Ona czytała pierwsza Wyspiańskiego, Żeromskiego, Prousta i Conrada, który był z jej ojcem w przyjaźni<sup>13</sup>. Sienkiewicz i Stanisław Witkiewicz bywali stałymi gośćmi babki Szembekowej, Dante Rosetti<sup>14</sup> i Ruskin<sup>15</sup> leżał na stole zamiast Macaulaya<sup>16</sup> i romansów Waltera Scotta, na których jeszcze kształtowała się młodość ojca.

I gdy ojciec mojej Matki jeździł na Riwierę i łowił o świcie ryby z neapolitańskimi rybakami, a potem grał Chopina, Liszta i Rachmaninowa na Capri, ona wносиła w pierwszych latach tego wieku do politycznego i rodzinnego dogmatyzmu rodziny ojca element, który był

---

<sup>12</sup> Mowa o gronie konserwatystów krakowskich, skupionych wokół ugrupowania Stańczycy, któremu przewodził Stanisław Tarnowski (1837–1817), historyk, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, brat babki Zygmunta Mycielskiego, Walerii z Tarnowskich Mycielskiej (1830–1904). Pozostali wymienieni tu członkowie grupy to: publicysta i krytyk teatralny Stanisław Koźmian (1836–1922), historyk i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Karol Potkański (1861–1907) oraz bracia Kazimierz Morawski (1852–1925), historyk, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Zdzisław Dzierżykraj-Morawski (1859–1928), prawnik i publicysta, a także najpierw radca, a następnie minister w Ministerstwie ds. Galicji Cesarstwa Austro-Węgier.

<sup>13</sup> Joseph Conrad (właśc. Józef Teodor Konrad Korzeniowski) (1857–1924) przyjaźnił się z dziadkiem kompozytora ze strony matki, Zygmuntem Szembekiem. Pisarz sportretował Szembeka w noweli *Il Conde* (wyd. 1908 w tomie *Sześć opowieści (A Set of Six)*).

<sup>14</sup> Dante Gabriel Rosetti (1828–1882), poeta i malarz angielski należący do grona prerafaelitów.

<sup>15</sup> John Ruskin (1819–1900), angielski pisarz i poeta, a także ceniony krytyk sztuki, propagujący współczesnych malarzy, w tym Williama Turnera i prerafaelitów.

<sup>16</sup> Thomas Babington Macaulay (1800–1859). Jego *Szkice i rozprawy* ukazały się po polsku w tłumaczeniu Stanisława Tarnowskiego, zob. Tomasz B. Macaulay, *Szkice i rozprawy*, Kraków 1892.

podówczas uważany za nieledwie, że rewolucyjny. Był to element pewnego „leseferyzmu”, pozostawienia ludziom większego spokoju i swobody, którą rodzina ojca krępowała w imię nieustępliwych i sztywnych zasad. W praktyce panowało zaś ciche przekonanie, że Szembekowie i Dzieduszyccy są bardziej pasywni i indolentni od Mycielskich i Tarnowskich. Rzeczy te jednak nie były tak proste.

\* \* \*

Najdawniejszymi moimi wspomnieniami są miejsca, w których mieszkaliśmy przed wojną 1914 roku. Ojciec administrował ordynacją Lubomirskich w Przeworsku, zostawiając prowadzenie Wiśniowej swej matce i siostrom. Od 1910 roku mieszkaliśmy w posiadłościach ordynacji Dzieduszyckich, w pałacu w Zarzeczcu i w Poturzycy nad Bugiem, też jednym z majątków Dzieduszyckich, liczącym 18000 hektarów.

Ojciec był zamięłowanym agronomek, lubił brać duże fortuny zaniedbane pod względem administracyjnym i rolniczym, i doprowadzał je po kilku latach, z wielkim nakładem energii do kwitnącego stanu gospodarczego.

Życie przed rokiem 1914 było tak ustabilizowane, wydawało się ówczesnym warstwom posiadającym czymś tak nieodmiennym, że wszelkie kalkulacje i projekty robiono na dziesiątki nieraz lat naprzód. Plany zalesień, budowa cukrowni, melioracje, wszystko obliczane było w perspektywie wkładów, strat i zysków, które pozwalały planować posagi córek w chwili, gdy się one rodziły i pozwalały czekać na spadki po nieżonatych członkach rodziny znajdujących się w pełni sił i czerstwym zdrowiu.

Ta nadbużańska okolica pozostawiła mi na całe życie wspomnienie. Może dlatego, że od owego, sprzed I wojny światowej czasu, nigdy jej więcej nie widziałem. Może i dlatego, że pozostawiła we mnie wspomnienie ziemi szerokiej i rozległej, do której wielką miłość odczuwają wszyscy ci, którzy się chowali na Ukrainie, Podolu, czy na Litwie.

Jest to wprawdzie „tylko” Wołyń, ale niezamieszkałe przestrzenie były ogromne i, jak mi się wtedy zdawało, można było jeździć całymi dniami po lasach, nie spotykając żywej duszy. Bug zalewał łąki wiosną aż po horyzont, stada ptactwa, wielka ilość zwierzyny, zwłaszcza w wielkim, nietykanym siekierą rezerwacie „dziewiczego lasu”, który zachowywali Dzieduszyccy, a wreszcie bujność zieleni na tej żyznej ziemi oszałamiała moje dzieciństwo.

Słyszałem tam ostatni raz śpiewy ruskie w cerkwiach – śpiewy dziewczyn na łąkach łączyły się z gęganiem niezliczonych stad gęsi domowych, skrzypieniem żurawi studziennych, klekotem bocianów i dalekim rozgwarem wsi rozbudowanej na wysokiej skarpie nadrzecznej.

Daleki horyzont zamknięty był taśmą błękitnego lasu, który można było śmiało nazwać borem. Były to rzeczywiście ogromne bory należące do ordynacji, lecz wieś była obca, a my byliśmy w niej prawdziwą wyspą. Były tam częste pożary dworskich zabudowań i stogów. Pamiętam czerwone od łuny niebo, gdy się paliły pełne folwarczne stodoły i matkę, która mnie wynosiła na rękach, w obawie, że i dom, w którym mieszkaliśmy spłonie.

Wspomnienia z Poturzycy pozwoliły mi też zrozumieć urok życia półkolonialnego, a opartego o długą historyczną tradycję. Może też i tam powstały pierwsze moje miłości do przyrody-żywiołu, którą są wszystkie nieużytki i pustki, którą są wielkie rzeki, góry, morza, stepy, lasy i pustynie. Te żywioły, które cywilizacja ujarzmia i porządkuje, a które w ciągu wieków wychowują odrębne rasy ludzi, nadają specjalny typ góralom, Beduinom i Arabom, żeglarzom normandzkim i wszystkim szczepom koczowniczym lub pasterskim.

W późniejszych latach, gdy poznałem podhalańskich górali, oszołomiły mnie najbardziej ich cechy wolnego, pasterskiego jeszcze w swej istocie ludu. Sposób rozumowania, śpiewania, bawienia się, wiązał się ściśle ze scenerią hal i otaczających je gór. Chciałem zawsze z Europy wyjechać, żeby choćby w północnej Afryce zetknąć się z Arabami, których wychowała otaczająca pustynia i góry Atlasu. Ale ani do Afryki, ani na Cejlon czy Polinezję nie pojechałem<sup>17</sup>. Zamiast Biskry<sup>18</sup> musiałem poprzestać na Jurgowie i Bukowinie Tatrzańskej<sup>19</sup>, a całą Polinezję stworzyć sobie na Wólce w Poturzycy, czy na jeziorach Oryna i Spingła, które chowają się w lasach ormiańskich, pod Wilnem.

W 1914 roku, jadąc z Poturzycy do Lwowa, zobaczyliśmy afisze mobilizacyjne.

Skończyły się czasy, gdy naczelnik stacji w Sokalu przysyłał umyślnego do prababki Dzeduszyckiej z prośbą, by zechciała przyspieszyć swój wyjazd na stację, bo pociąg nie może już dłużej czekać na panią Hrabinę.

---

<sup>17</sup> W późniejszych latach Zygmunt Mycielski odwiedził swych braci, Kazimierza i Franciszka, którzy po 1945 roku osiedli w Johannesburgu. Obserwował tam uważnie kulturę południowoafrykańską. Refleksje z tej podróży można znaleźć w jego dziennikach.

<sup>18</sup> Miasto w Algierii.

<sup>19</sup> W Bukowinie Tatrzańskej Mycielski zamieszkał w 1938, a w 1939 roku przebywał tam niemal do końca sierpnia. Tuż przed wybuchem II wojny światowej pojechał do Wiśniowej.

\* \* \*

Nie myślę, żeby była celowa duża ilość opisów. Każdy człowiek myślący przeżywa dużo. Dla niemyślącego największe przeżycia pozostają jak te międzynarodowe rozkłady jazdy, w których można było studiować bieg orient expressu.

Przed 1914 rokiem można było zdecydować na dworcu we Lwowie czy Krakowie, czy się jedzie do Rzymu, Paryża czy Londynu. Wystarczyło mieć na to odpowiednią ilość gotówki, obojętne w jakiej walucie lub zaopatrzone konto, obojętne w jakim banku. Świat był znakomicie urządzony dla posiadających. Mogli oni być obywatelami tego świata, mogli być Europejczykami, bez żadnych ograniczeń dewizowych czy paszportowych. Paszporty były wymagane tylko w carskiej Rosji. Reszta świata stała otworem. Europa była głównym mieszkaniem, a dalej, było się Europejczykami. To wystarczało dla właścicieli kont bankowych. To była jeszcze era kolonialna. Prymat europejski. Gdy w 1914 roku wybuchła wojna, wystarczyło się odsunąć od frontu, żeby mieć spokój. W jeszcze mniejszej skali, ojciec mój, na kuracji w Marienbadzie słyszał armaty spod Königgrätz<sup>20</sup> w czasie wojny austriacko-pruskiej. Nikt z kuracjuszy nie ruszył się z Marienbadu. Wojna była daleko, o całych kilka kilometrów.

W 1914 roku sprawa była poważniejsza. Uciekaliśmy końmi, bo pociągi stanęły, babka umarła w drodze, a dla nas zatrzymał Księżę Croÿ<sup>21</sup> maltański pociąg<sup>22</sup> i zmienił kierunek jazdy, żeby nas podwieźć na Węgry, do ciotki Esterházy, córki prof. Stanisława Tarnowskiego.

Był to jeszcze czas jakby niewygasłego XVIII wieku, w którym wystarczyło pojechać na Węgry do Esterházych czy Pálffych, w Wiedniu byli Lanckorońscy czy Thunowie, a we Włoszech można było zajechać do Odescalchich. Arystokracja była jeszcze międzynarodowym zamkniętym klanem.

---

<sup>20</sup> W wojnie austriacko-pruskiej w 1866 roku armia pruska zwyciężyła Austriaków w bitwie pod Königgrätz (Bitwa pod Sadową). Do bitwy doszło między wsią Sadowa a fortecą Königgrätz (obecnie Hradec-Králové).

<sup>21</sup> Księżę Croÿ, arcyksiążę Fryderyk Habsburg, ostatni habsburski książę cieszyński, w latach 1914–16 głównodowodzący sił zbrojnych Austro-Węgier. Jego żoną była księżniczka Izabella von Croÿ-Dülmen.

<sup>22</sup> Jeden z pociągów sanitarnych, którymi w czasie wojny zarządzał Zakon Kawalerów Maltańskich.

Na świecie nie była to pierwsza międzynarodówka. Cesarstwo rzymskie było już organizmem *par excellence* międzynarodowym, wystarczyło należeć do pierwszych szeregów obywateli rzymskich, by czuć się jak we własnym domu od Atlantyku do Pontus Euxinus<sup>23</sup>.

Po upadku cesarstwa zachodniego Kościół przejął tę funkcję. Biskup czy mnich chrześcijański urządzał świat i mówił po łacinie przez całe wieki średnie, rozjeżdżając się z Cluny do Pragi i z Rzymu do Canterbury. Rycerstwo wytworzyło klasę, której solidarność nie tylko w wyprawach krzyżowych się manifestowała. Arystokracja dworska przejęła tę międzynarodową misję porozumienia, które było łatwiejsze między Castellanem<sup>24</sup>, Windischgrätzem<sup>25</sup> i Radziwiłłem niż między każdym z nich a francuskim, niemieckim czy polskim chłopem. Po ciosach, które rewolucja francuska zadała arystokracji francuskiej kapitał wytworzył solidarną warstwę Rothschildów<sup>26</sup>, Kruppów<sup>27</sup>, Rockefellerów<sup>28</sup> i Dupont de Nemours'ów<sup>29</sup>. Ten świat porozumiewa się między sobą bez innych trudności, jak polityka ich koncernów i trustów. Dziś tę międzynarodową rolę usiłują zdobyć komuniści w imię hasła „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”.

W Austrii, podobnie jak i innych krajach Europy Środkowej arystokracja odgrywała rolę nie tylko warstwy posiadającej, lecz i rządzącej. Polacy nie tylko poprzez stanowiska namiestników, marszałków Sejmu, ministrów dla Galicji, lecz i na stanowiskach premierów i ministrów cesarsko królewskich w Wiedniu zarządzili Austrią. Węgrzy, Rumuni zarządzili, podobnie jak Austriacy i Włosi, za pomocą grupy ludzi, którzy „znali się od dziecka”. Miałem podobne wrażenie na trybunie pierwszomajowej, gdy widziałem, jak się ze sobą starzy komuniści witali. Tylko że komuniści są jeszcze w ogniu pełnej walki, i nie mają do siebie zaufania, polegającego na tradycji, „że się nam nic stać nie może”, bo – gdy się kariera polityczna urwie – to się jedzie do swego majątku. U nas ostatni tak pojechał do swoich Zagórzan Aleksander Skrzyński po wypadkach majowych w 1926 roku, kiedy Piłsudski

---

<sup>23</sup> Łac. Morze Czarne.

<sup>24</sup> Włoski ród arystokratyczny.

<sup>25</sup> Wł. Windisch-Grätz, austriacka rodzina arystokratyczna.

<sup>26</sup> Rodzina niemieckich Żydów, związana z bankowością i finansami, w Austrii i Wielkiej Brytanii z tytułami szlacheckimi.

<sup>27</sup> Rodzina niemieckich producentów stali, założycieli przemysłowego imperium Friedrich Krupp AG, znanego współcześnie pod nazwą ThyssenKrupp AG.

<sup>28</sup> Amerykańska rodzina przedsiębiorców i filantropów pochodzenia niemieckiego.

<sup>29</sup> Francuska rodzina arystokratyczna, po upadku rewolucji francuskiej w Stanach Zjednoczonych. Założyciele koncernu chemicznego DuPont.

doszedł do władzy<sup>30</sup>. W Austrii świat zaczął się walić wraz z klęską monarchii w 1918 roku. Lecz w 1914 roku jeździliśmy jeszcze „od znajomych do znajomych”.

Ta Europa, którą pamiętam jeszcze przed 1914 rokiem, sprawia mi dziś wrażenie ziemi, która, podbiwszy w ciągu trzech wieków świat, nie może zrozumieć, że ten świat ją przerósł od dawna. Ludzie, którzy przed rokiem 1914 myśleli, że nic nie może się zmienić i że „tak będzie zawsze”, rozumowali nie kategoriami ostatnich pięćdziesięciu czy stu lat historii europejskiej, lecz kategoriami, które były wynikiem długich wieków rozwoju historycznego. Dlatego tak trudne, jeśli nie niemożliwe było dla nich pytanie, które dopiero marksizm postawił, zmiatając ich z widowni: „Kto korzysta z praw europejskiego folwarku i dlaczego korzystać jeszcze może z takiego porządku rzeczy”.

Nie tłumaczę sobie, dlaczego pytania te były dla mnie zawsze zupełnie oczywiste i jakim cudem stawiałem je sobie, gdy jako dziecko nie wiedziałem nic, choćby tylko o rewolucji francuskiej.

Szliśmy ze szwajcarską guwernantką, panną Emilią Altermatt, przez wieś w Poturzycach, gdy zobaczyłem brzdąca jak Manneken Pis<sup>31</sup>. Lał prosto przed siebie, na drogę.

Musiało mnie to silnie uderzyć, skoro do dziś pamiętam tę scenę i wywody guwernantki, która mówiła (a tłumaczę z francuskiego dosłownie):

„Widzisz, mój mały, tych biednych ludzi nikt nie wychował. Ten mały nie wie co robi, (już wtedy zareagowałem wewnątrz z całą przekorą, w której przyszło mi świadomie na myśl kpiące: «chyba wie, że leje») ani, że trzeba się przynajmniej tyłem obrócić, albo pójść gdzieś tak, żeby tego nikt nie widział”.

„A dlaczego on trzyma swoje pipi w ręce?”.

„To też brzydko robi i ci biedni ludzie nie nauczyli go skromności ani wstydu”.

Pozostałem zamyślony i pamiętam, jak nie zapytałem się:

1) dlaczego mnie panna Emilia tego wszystkiego uczy – a tamte dzieci nie mają nikogo, kto by im to powiedział;

---

<sup>30</sup> Aleksander Skrzyński (1882–1931), polityk II RP, w okresie od 25 XI 1925 do 5 V 1926 premier rządu. Po zamachu majowym zakończył działalność polityczną i zajął się przemysłem drzewnym.

<sup>31</sup> Figurka siusiającego chłopca, symbol Brukseli.

2) dlaczego nie mogę się nigdy z nimi bawić, tylko idę środkiem drogi, gdy o wiele bardziej by mnie cieszyło bawić się z wiejskimi dziećmi;

3) dlaczego ci ludzie są biedni, a ja nie.

Te trzy pytania postawiłem sobie z całą świadomością mając lat sześć czy siedem, przed pierwszą europejską wojną światową.

\* \* \*

Gdy w 1914 roku wiózł nas, uciekających z Wiśniowej, pociąg maltański Księcia Croy i wysadził nieoczekiwanie na dworcu w Eperies<sup>32</sup>, to był to jedynie dowód, że księżę przestał całkowicie panować nie tylko nad własnym pociągami, ale i nad sytuacją, w której się znajdował. A gdyśmy dojechali do Budapesztu i Wiednia, to zauważyłem, że nie posiadamy ani własnych koni, ani domu takiego, jaki wyobrażałem sobie, że „można w nim mieszkać”. Dom ograniczał się do willi z małym ogródkiem, służącego Władka, którego powołano wkrótce do wojska – panny służącej mamy, kucharza, księdza, profesora moich braci, naszej guwernantki, tym razem Niemki, panny Anny Kohn, i naszej szóstki: rodziców i czterech synów. Nie rozumiałem, że do fiaków nie można siadać jak do własnego powozu, ani że z koszów z owocami nie można wybierać tego, na co się ma ochotę – tak jak we własnym ogrodzie.

W miejskim parku budowałem z piasku fortyfikacje Przemyśla i kazałem wojskom francuskim, nie rosyjskim, je zdobywać. (W domu słyszałem, jak mama twierdziła, że Francuzi zwyciężą, i że Paryż nigdy nie padnie).

Małe dziewczynki wiedeńskie podeszły wtedy do moich fortyfikacji i bucikami podeptały mi całe wojsko i pozycje francuskie. Narobiłem wrzasku i krzyku i poleciałem do panny Anny. Chciałem, żeby zabiła te dziewczynki, które mi podeptały pozycje francuskiego wojska. Zobaczyłem, że zachowała się z dziewczynkami bardzo łagodnie, a mnie o mało klapsa nie dała za wrzaski.

---

<sup>32</sup> Węgierska nazwa Preszowa (Prešov), miasta we wschodniej Słowacji.

Chciałem pójść podeptać dziewczynkom ich wojsko w piasku, lecz panna Anna i tego nie pozwoliła mi zrobić. Byłem rozżalony i – jak zwykle – gdy czułem niezrozumiałą mi niesprawiedliwość, wpadłem w wielki smutek i uciekłem schować się w najdalszy kąt parku.

W owym parku zrozumiałem, że dziewczynki są Niemkami i chcą, żeby wygrał cesarz, ten cesarz z bokobrodami, którego błyszczącą litografię w pięknym białym mundurze przepasanym wstęgą wyciągnąłem z kosza i przybiłem pluskiewką nad łóżkiem. Gdy potem moja matka weszła do pokoju i zobaczyła wielki łeb Franciszka Józefa między Chrystusem i Matką Boską Częstochowską, podeszła i stanowczym, bezapelacyjnym ruchem zdjęła, przedarła i wrzuciła z powrotem do kosza lśniąca litografię. Zakreśliły mi się łzy w oczach i zapytałem, dlaczego tak się stało: „To nie jest nasz cesarz”, odpowiedziała matka.

Coś podobnego zdarzyło się w parku w Schönbrunnie. Zwiedzająca publiczność nagle zaczęła się ustawiać w szpaler, bo przejeżdżała dworska karetka. Mama wzięła mnie za rękę i schowała się poza ludzi. Nie chciała, żebyśmy się kłaniali (a mężczyźni zdejmowali w takim wypadku kapelusze).

Wszystko to zacząłem wiązać wtedy ze sobą, tylko nie przychodziło mi jeszcze do głowy, dlaczego brat ojca, prof. Jerzy Mycielski tyle przesiaduje z arcyksiężętami austriackimi.

Wiedeń był podówczas siedliskiem najsprzecznějších orientacji. Można było w hotelu Erzherzog Karl głośno wykrzykiwać, że państwa centralne (Austria i Niemcy) przegrają tę wojnę – oczywiście – jeżeli się nosiło nazwisko Zamoyski<sup>33</sup>. Można było posyłać karykatury cesarza Wilhelma II z dorysowanymi oślimi uszami – gdy podpis na karcie był arcyksięcia Karola Stefana Habsburga z Żywca<sup>34</sup>. Ale też i nasz stary przyjaciel architekt Tadeusz Stryjeński<sup>35</sup> mógł sobie w czasie wojny jeździć przez Szwajcarię do Paryża i przywozić nam całe pliki „L’Illustration” i „Revue des Deux Mondes”, w których powlepiane były pocztówki

---

<sup>33</sup> Adam Zamoyski (1873–1940), ordynat kozłowiecki, walczył w I wojnie światowej po stronie Rosji. Był adiutantem wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza Romanowa, a następnie rotmistrz i figel-adiutant cara Mikołaja III.

<sup>34</sup> Karol Stefan Habsburg (1860–1933), austriacki arcyksiążę habsburski z linii cieszyńsko-żywieckiej. Mieszkał na zamku w Żywcu, miał bardzo pozytywny stosunek do Polaków.

<sup>35</sup> Tadeusz Stryjeński (1849–1943), architekt, zaprzyjaźniony z rodziną Mycielskich. Regularnie gościł w Wiśniowej.



generałów francuskich, Joffre, Mangina, Castelnau<sup>36</sup> i innych – (czasy Focha<sup>37</sup> nie nastąpiły bowiem wtedy jeszcze).

Nawet w sercu wiedeńskiej towarzysko-światowej polityki w restauracji u Sachera czy w Grand Hotelu można było wykrzykiwać w uniesieniu: „To nie dziwne, że się Austria jeszcze nie rozleciała – to dziwne, że się dotąd jeszcze trzyma”.

Przedziwna to była monarchia, której wierne ludy straciły wierność, a stary cesarz siedział – przekonany – że skoro jego dynastia panuje od czasów Rudolfa z Habsburga, to i dalej panować będzie, bo taka jest wola boska.

Nie były to już jednak czasy Metternicha<sup>38</sup>. Jeszcze wszyscy myśleli, że wojna – przegrana czy wygrana – nie może zmienić „ogólnego toku życia”. Wojna skończona – to każdy wraca do siebie. Biskup krakowski Sapieha założył dla wysiedleńców „komitet książecko biskupi”, niosący pomoc biednym<sup>39</sup>. Kwestia niepodległości Polski jest oczywiście dla nas najważniejszą sprawą, ale wypadki polityczne nie mogą zagrażać instytucji tak odwiecznej jak własny dom rodzinny, do którego się wraca, gdy wojna się kończy. W najgorszym zaś razie, gdy się nie ma znajomego generała, który by odpowiednio pokierował frontem, dom ten może być narażony na spalenie czy zburzenie przez pociski artyleryjskie. Nikt z tych ludzi – ani w karecie dworskiej, ani u Sachera, ani w naszej willi, którą uważaliśmy za niesłychanie ciasną, nie znał nazwiska Lenin. Więc najważniejszą rzeczą pozostawało, czy dom został trafiony jakimś pociskiem czy nie. Chałupa mogła się tam gdzieś spalić, ale dom czy drzewo w ogrodzie nie. Bo drzewa też kochało się bardzo.

Gdy myślę dziś o orientacjach politycznych w Wiedniu, o tych którzy liczyli na zwycięstwo Ententy, o innych, którzy stawiali na Państwa Centralne, gdy myślę o entuzjazmie ludzi śpiewających ze łzami w oczach Marsyliankę, gdy Niemcy podchodzili pod Paryż, a Francuzi ich odepchnęli w bitwie nad Marną, i gdy znowu inni Polacy przypinali orzełki do

---

<sup>36</sup> Francuscy generałowie z czasów I wojny światowej: Joseph Joffre (1852–1931), Charles Mangin (1866–1925), Eduard de Castelnau (1851–1944).

<sup>37</sup> Ferdinand Foch (1851–1929), dowódca armii francuskiej, szef Sztabu Generalnego oraz przewodniczący Rady Wojennej Sił Sprzymierzonych i koordynator działań wojennych na froncie zachodnim, marszałek Francji. Doprowadził do zakończenia działań wojennych i 11 XI 1918 roku sygnował rozejm w Compiègne kończący I wojnę światową.

<sup>38</sup> Klemens von Metternich (1773–1859), wieloletni Minister Spraw Zagranicznych Cesarstwa Austro-Węgier.

<sup>39</sup> Książę Adam Sapieha (1867–1951), duchowny katolicki, od 1911 biskup, a od 1926 arcybiskup metropolita krakowski. Uznawany za jedną z najważniejszych postaci w dziejach polskiego Kościoła I połowy XX wieku. W 1914 roku założył w Krakowie komitet pomagający poszkodowanym przez wojnę, który w 1915 roku otrzymał nazwę: Książęcko-Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny. Komitet miał sekcje pomocy doraźnej, opieki nad dziećmi oraz opieki sanitarnej.

maciejówek i dzwonili szabelkami w legionach Piłsudskiego – to mi się wszystko to wydaje dużą i krwawą zabawą w patriotyczne bohaterstwo, które jest dziś równie od nas dalekie, jak wojny dynastyczne Ludwika XIV.

Już wtedy myślałem: co to jest Polska? Czy to orzeł, czy to dom w Wiśniowej, czy to szkoła, czy może jednak coś bardziej złożonego, skoro się mówi: Polska zrobiła to, Francja tamto, Anglia wydała wojnę, a Włochy przystąpiły do Ententy. Tak samo, jak zapytałem kiedyś, gdzie jest nasza korona hrabiowska i byłem zdumiony, że jej nie ma. Realność i konkretność pojęć, cechująca umysł dziecinny powinna być w jakimś stopniu zachowana przez umysł dojrzały. Z wiekiem uczymy się bowiem operować słowami, które potem przyjmujemy jako coś obowiązującego powszechnie, pojęcia, gdy ich nie tylko że nie sprawdzamy, ale nigdy nam nie przychodzi na myśl zastanawianie się nad ogólnie przyjętym terminem, podawanym do wierzenia, czy też za prawdę uznany. Każda epoka wydaje pewną ilość takich terminów pojęciowych, których samo znaczenie stanowi o światopoglądzie. Wraz z ustaleniem się światopoglądu kostnieją pojęcia, a znaczenia i same wyrazy wycierają się. Zatracamy możliwość oddania ich sensu. Stąd wieczna młodość dzieł takich, które nowym odczuciem i językiem nazwą starą rzecz i pojęcie jej odmłodzić potrafią. Nieraz zaś przemiana odbywa się przez postawienie zwykłego znaku zapytania obok starego, ogólnie przyjętego terminu szczególnego. Od takiego znaku zapytania rysuje się inaczej i wali cała misterna i żmudnie przez wieki budowana konstrukcja. Mało kto ma dosyć odwagi i sił, by taki znak zapytania postawić. Stąd rzadkie są stosunkowo chwile, w których taka śmiałość może być przez ogół przyjęta. Ludzie bowiem przyjmują tylko to, co odpowie potencjalnie tkwiącym w nich możliwościom rozwojowym.

Świat, w którym się chowałem nie poddawał w wątpliwość żadnej z prawd ogólnie do wierzenia podanych. Tak było z religią, ojczyzną, rodziną, porządkiem społecznym, panującymi normami sprawiedliwości, moralności, tak było z prawem własności i ustalonymi poglądami, nawet estetycznymi, które zmieniały się tak wolno jak pokolenia. I znam jeszcze dziś ludzi, którzy usiłują wszystkie te znaki zapytania pomijać, w dobrej wierze, że rzeczy, o których się nie mówi i nie myśli pozostaną zawsze takie, jakie im się zdawały być za czasów ich dzieciństwa.

\* \* \*

Trudno mi dziś zrozumieć za co żyliśmy w Wiedniu w 1914 i 1915 roku. Moi rodzice nie mieli kapitałów w bankach. Widocznie jednak banki udzielały kredytów właścicielom ziemskim, a wojsko wypłacało gotówkę za zabrane konie. Te kwitki wydawane w chwili mobilizacji za konie, zboże czy siano, były widocznie dobrze honorowane, skoro nie pamiętam specjalnej ciasnoty finansowej i skoro mogliśmy przez szereg miesięcy mieszkać w owej willi na przedmieściu Döbling, przy Silberstrasse 43, dokąd zjeżdżało się na obiad sporo krewnych i znajomych.

Mój stryj, prof. Jerzy Mycielski był członkiem Naczelnego Komitetu Narodowego i tą drogą zawiązał bliskie kontakty z legionowymi oficerami i z Piłsudskim, który był wtedy brygadierem. Pamiętam z tych czasów przybywających do nas młodych oficerów, których nazwiska głośne były później: Galica, Januszajtis, Kazimierz Sosnkowski, Michał Żymierski<sup>40</sup>, którego nazwisko wymyślił mój Stryj, po długich dyskusjach czy ma brzmieć Żymirski czy Żymierski, – Wieniawa-Długoszowski<sup>41</sup> i Józef Beck<sup>42</sup> byli wtedy szczeniakami, poeci legionowi, Żuławski<sup>43</sup> i Słoński<sup>44</sup> pisali wiersze o Polsce, o wojnie i wojsku, które czytano ze łzami w oczach. Równocześnie legionieści posługiwali się stosunkami Jerzego Mycielskiego z Habsburgami, które miał poprzez zamordowanego w 1914 roku w Sarajewie następcę tronu Franciszka Ferdynanda, przez arcyksięcia Karola z Żywca i arcyksięcia Karola i Zytę, późniejszą ostatnią parę cesarstwa w Austrii. Pomijając stronę czysto snobistyczną tych stosunków, były one wyrazem koncepcji, której służyła cała krakowska partia konserwatystów, koncepcji, dążącej do tak zwanego „austro-polskiego rozwiązania” – z możliwościami powołania Habsburga na tron polski w razie zwycięstwa państw centralnych nad Rosją. W

---

<sup>40</sup> Mowa o późniejszych dowódcach polskiej armii: Andrzej Galica (1873–1945), legionista, twórca formacji strzelców podhalańskich, generał brygady Wojska Polskiego; Marian Januszajtis-Żegota (1889–1973), legionista, ostatni dowódca I Brygady Legionów Polskich, generał dywizji Wojska Polskiego; Kazimierz Sosnkowski (1885–1969), legionista, szef sztabu I Brygady Legionów Polskich, minister spraw wojskowych II RP, generał broni Wojska Polskiego, w czasie II wojny światowej komendant główny Związku Walki Zbrojnej oraz Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych; Michał Rola-Żymierski (1890–1989), legionista, oficer rezerwy Armii Austro-Węgier, generał brygady Wojska Polskiego, w 1944 dowódca Armii Ludowej, Naczelny Dowódca Wojska Polskiego, od 1949 członek komisji nadzorującej Ludowe Wojsko Polskie. Jako jedyny z wymienionych brał udział w budowie Polski Ludowej. Galica zmarł pod koniec wojny, a pozostali nie wrócili po 1945 roku do kraju.

<sup>41</sup> Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1881–1942), legionista, w II RP dyplomata, generał dywizji Wojska Polskiego oraz osobisty adiutant Józefa Piłsudskiego. Był niezwykle barwną postacią międzywojennej Warszawy.

<sup>42</sup> Józef Beck (1894–1944), legionista, adiutant Józefa Piłsudskiego, dyplomata i polityk. Od 1932 roku Minister Spraw Zagranicznych II RP. Jego najbliższym współpracownikiem był Jan Szembek (1881–1945), wuj Zygmunta Mycielskiego i jego chrzestny ojciec.

<sup>43</sup> Jerzy Żuławski (1874–1915), filozof i poeta związany z okresem Młodej Polski. Po wybuchu I wojny światowej wstąpił do Legionów. Do jego najbardziej znanych utworów należy wiersz *Do moich synów* napisany w 1914 roku. Był ojcem Juliusza, Marka i Wawrzyńca Żuławskich.

<sup>44</sup> Edward Słoński (1872–1926), pisarz i poeta. W 1915 roku wstąpił do Legionów. Jest autorem wielu popularnych wierszy legionowych, m.in. *Idzie żołnierz borem lasem* (1916) oraz *Wojenko, wojenko* (1917). Zygmunt Mycielski dedykował mu dwa młodzieńcze preludia fortepianowe.

koncepcji tej załatwiano połączenie ziem polskich austriackiego i rosyjskiego zaboru, pozostawiano zaś otwartą i nierozstrzygniętą sprawę ziem polskich zaboru pruskiego. W gruncie rzeczy najdrażliwszym punktem był tu więc stosunek cesarstwa austrowęgierskiego do Prus i bismarckowskiego pruskiego cesarstwa Hohenzollernów. Polacy, tacy jak Badeniowie, Ziemiałkowscy, Dunajewscy, Babsy zarządzili faktycznie Austrią na stanowiskach premierów, ministrów skarbu czy spraw zagranicznych. W Galicji Potoccy, Tarnowscy, Sanguszko zarządzili na stanowiskach namiestników lub marszałków Sejmu we Lwowie krajem. W tej konfiguracji zdawało się więc czymś realnym zmajoryzowanie Austrii przez element słowiański, odciążenie jej od Prus i, w wypadku zwycięstwa, utworzenie państwa, wspartego na dużej, monarchicznej tradycji austriackiej. koncepcja ta, wylęła w głowach konserwatystów krakowskich była źródłem hasła, które powtarzali z całą powagą przy każdym publicznym występie, a z którego natrzęsano się tak bardzo: „Przy tobie cesarzu stoimy i stać chcemy”. Dzięki tej polityce uzyskali polski uniwersytet, szkoły, Sejm we Lwowie, Wydział Krajowy, a poprzez Koło Polskie w Wiedniu udział w Radzie Państwa, Izbie Panów i udział w rządzie centralnym. Zdawało im się, że zyski tej polityki są większe niż szkody wyrządzone „duchowi narodowemu”, o którym prawili hurrapatrioci.

Toteż Piłsudski, formując legiony w jedynym z państw zaborczych, gdzie można było utworzyć oddział z polskimi orzełkami na furazerkach, wpłynął na falę, której biegu oczywiście przewidzieć nie mógł, ale która – w jego koncepcji jakiegoś załączka wojska polskiego – była podówczas logiczna. W rzeczywistości wykorzystywał koncepcję konserwatystów krakowskich dla celów, które nie były w jego głowie jasne, lecz były giętkie: w chwili jakiegokolwiek traktatu pokojowego nie być nieobecny, mieć za sobą załączek siły i organizacji. Rzecz jasna, że w Wersalu, w czasie traktatu w 1918 i 1919 roku legiony bijące się po stronie austriackiej przeciw Rosji carskiej nie były dopuszczane do głosu i dlatego w imieniu Polski przemawiali tam Paderewski i Dmowski, stawiający na Ententę w czasie wojny. Lecz rachuby Piłsudskiego spełniły się w kraju. Gdy przybył z Magdeburga, znalazł grupę swoich ludzi, z którymi zaczął klecić pierwsze od blisko półtora wieku zręby państwowości własnej.

Tymczasem w 1914 roku wojska carskie zapuszczały swe pierwsze zagony poza Karpaty. Chodząc na Kahlenberg<sup>45</sup> widzieliśmy, jak saperzy budowali dookoła Wiednia zasieki z drutów kolczastych. W zamieszkałej przez nas willi na Döblingu dyskusje przybierały nieraz bardzo gwałtowną formę, pomiędzy tymi, którzy wierzyli w zwycięstwo Austrii a tymi, co

---

<sup>45</sup> Wzgórze nad Wiedniem, położone na terenie Lasu Wiedeńskiego.

przewidywali, że Francja i Anglia dyktować będą przyszły pokój Europejski. Wszystkie możliwe kombinacje były brane pod uwagę oprócz jednej: przewrotu społecznego czy rewolucji. Z tą ewentualnością liczyli się ludzie, którzy nie mogli się znaleźć wśród gości naszych na Silberstrasse. Co najwyżej kilka dość mętnych głów spod zaboru rosyjskiego przynosiło nam pieśni rewolucyjne, które jeszcze sprzed 1914 roku pamiętam, i sceptycznie zapatrywało się na wszystkie te koncepcje wiedeńskie. A gdy w 1915 roku wojska rosyjskie wycofały się spod Krakowa poza San, powróciliśmy w najnormalniejszy w świecie sposób przez Kraków, do Wiśniowej.

Pamiętam dobrze ten powrót. Moja imaginacja dziecinna rozpalona była opowiadaniem z frontu. Ogród był poprzerzynany rowami strzeleckimi, dom pusty, pełen dziur od kulek karabinowych, bez okien i drzwi. Urządzenie częściowo porozbierane przez służbę i chłopów powoli wracało na dawne miejsce. Odnaleziono ukryte srebro i obrazy, odnawiano powoli meble. Mój ojciec odbudowywał zniszczone gospodarstwo, życie wracało powoli do dawnego kształtu. Ale jednak coś pozostało pękniętego na zawsze, coś definitywnie zmienionego i podupadłego. Gdy myślę dziś o tym, nie mogę znaleźć ścisłego ujęcia tego. Czy była to podkopana wiara w trwałość urządzeń społecznych, trwałość dóbr i stanu posiadania, czy trwałość urządzeń politycznych? Wszystko to razem zapewne.

Losy państw poczynają się dziać na naszych oczach. Z przedłużającą się wojną trudności wzrastały. I, choć dla rolnictwa koniunktura była – jak zwykle w czasach wojen – dobra – to przecie trudności aprowizacyjne w miastach, braki na każdym polu komplikowały i prymityzowały coraz bardziej życie z każdym rokiem.

Monarchie poczęły trzeszczeć w posiadach. Upadł carat, a wkrótce potem zapadła się Austria i Niemcy zostały pokonane. W Paryżu Woodrow Wilson, Clemenceau i Lloyd George usiłowali urządzić świat i ustalili na dwadzieścia lat porządek europejski zwany pokojem wersalskim. Był to porządek oparty na zasadzie i na papierze na prawie samostanowienia narodów, czyli powstały na zasadzie narodowej, nacjonalnej, nacjonalistycznej nawet. Mógł mieć on zastosowanie wszędzie tam, gdzie narodowości były ściśle rozgraniczone. Komplikacje jednak mnożyły się wszędzie tam, gdzie narody pomieszane były na jednym i tym samym terenie, rozbite na jedną, dwie czy więcej mniejszości. Wystarczy tu przykład państw bałkańskich, Rumunii, Węgier, Słowacji, Litwy, nie mówiąc już o naszych komplikacjach ruskich, białoruskich i litewskich.

Ta zasada, na której budowano porządek europejski w Wersalu okazała się mniej trwała niż zasada legitymizmu, która po upadku Napoleona była ideą przewodnią traktatu wiedeńskiego i ustaliła stuletnią „równowagę sił” europejskich.

Traktat wersalski natomiast przygotował grunt pod tysiące kwestii i sporów, z którymi Liga Narodów, pozbawiona wszelkiej egzekutywy nie mogła sobie dać rady w Genewie. Nie mogła sobie dać rady w sporze Urugwaju z Paragwajem, przyjęła do wiadomości fakt zajęcia Wilna przez generała Żeligowskiego<sup>46</sup>. W rzeczywistości traktat wersalski był przyczyną sporów i pretensji, czekających jedynie momentu spalenia się w ogniu wzajemnym. Podsycając ambicje i rewindykacje narodowe, przygotował grunt pod zjawiska, które rozpały do białości nacjonalizm, a które przezwano mianem faszyzmu we Włoszech Mussoliniego i narodowego socjalizmu w Trzeciej Rzeszy Hitlera. Nacjonalizmy te były wykorzystane i wygrywane dla stłumienia prądów zagrażających panującym porządkom społecznym. W rzeczywistości nacjonalistyczna zasada traktatu wersalskiego była niby to logiczną konsekwencją haseł narodowych, jakie od czasów rewolucji francuskiej rozeszły się wśród ludów europejskich – a które w czasie próby ogniowej zbankrutowały. Tak pojęte idee narodowościowe okazały się w drugiej ćwierci XX wieku anachronizmem równie przebrzmiałym, jak bokobrody Franciszka Józefa w pierwszej ćwierci tego wieku i wydały totalistycznego, fanatycznego potwora Adolfa I, który o mały włos nie spalił w piecach wszystkich niższych od germańskiej ras.

Życie w Wiśniowej biegło po hasłem pozornego „niech na całym świecie wojna – byle polska wieś spokojna”. Moi rodzice osiedlili się tam po śmierci matki ojca, która w roku 1914 zmarła w powozie jako 84 letnia staruszka, w drodze na Węgry. Dwaj starsi moi bracia pojechali do gimnazjum we Lwowie, gdzie mieszkali w pałacu prababki Alfonsyny Dzieduszyckiej. Pamiętam ten duży dom w ogrodzie, przy ulicy Kurkowej 15 i moją prababkę, staruszkę, której wszyscy się bali, a przede wszystkim jej cztery córki: moja babka Szembekowa, Tadeuszowa Dzieduszycka, Maria Cieńska i Witoldowa Czartoryska.

Dom na Kurkowej był duży, zajeżdżało się tam bez dawania znać, ponieważ prababka uważała, że ma to być „hotel dla rodziny”. Nakryć na stole miało też być tyle, ile jest osób w salonie i stary, z siwymi bokobrodami marszałek domu, Patyński, musiał się tu w lot orientować. Było to zadanie o tyle ułatwione, że jedzenie – w czasie wojny przynajmniej – było

---

<sup>46</sup> W 1920 roku generał Lucjan Żeligowski (1865–1947) działając w porozumieniu z marszałkiem Józefem Piłsudskim zajął Wilno i jego okolice, proklamując powstanie Litwy Środkowej, która została następnie przyłączona do Polski. Tzw. Bunt Żeligowskiego miał na celu przejęcie Wilna z rąk Litwinów, którzy w 1918 roku ogłosili powstanie niepodległej Republiki Litewskiej.

na Kurkowej okropne, a jakakolwiek o nim uwaga byłaby uważana za coś tak niewłaściwego, że nikt o zrobieniu jej nawet nie myślał. W dużych domach, które znałem nie mówiło się nigdy o jedzeniu. Należało to do jakiegoś dobrego, spartańskiego tonu, żeby te rzeczy nie zaprzętały niczyjej uwagi – nie wyłączając pani domu. Z bardzo dobrej kuchni, która bywała u Badenich czy Skrzyńskich podrywano nawet jakby z czegoś nie całkiem *comme il faut*. Na Kurkowej, w Dzikowie u Tarnowskich, u Franciszków Potockich jedzenie było złe, a „Na Szlaku” u Stanisławowej Tarnowskiej było po wojnie tak fatalne, że z trudnością można je było przełknąć. Przynoszono tam z klasztoru od zakonnic w dużych menażkach jakieś okropne, niedogotowane czarne suche kluski czy gnieceuchy nie wiadomo z czego zrobione, liczna służba przesypywała to na półmiski i podawała ni to zimne ni letnie zgromadzonej rodzinie, zaczynając od starej profesorowej, która zwracała się do nas ze słowami: „Weź *mon chér* trochę więcej, żebyś nie był głodny”. „Dziękuję Cioci bardzo” było maksymalnie stanowczą w takich wypadkach odpowiedzią. Bnińscy kopali się pod stołem, łapiąc owe gnieceuchy i rzucając psom pod stołem. Mówiono, że profesor Stanisław Tarnowski umarł z niedożywienia, zagłodzony w rzeczywistości przez tę swoją bardzo bogatą żonę, z domu Branicką, w której to rodzinie tradycja domowego skąpstwa sięgała czasów hetmanowej Branickiej, żony Targowiczana.

Dziwactwa te pamiętam, jak pamiętam ogólne ich przez wszystkich przyjęcie bez jakichkolwiek sprzeciwów, wystarczyło bowiem wytłumaczenie wszystkiego słowem „Branicki” lub „braniczyzna”. Poza tym zaś wszelkie braki kuchenne wynikały też i z zasady „by sobie nie dogadzać”, pewnego rodzaju wielkopańskiego niedbalstwa, a częściowo z uczucia, że fortuny w miarę rozmnażania się rodziny i ogólnych warunków topnieją z pokolenia w pokolenie, co było tak częste w ciągu całego XIX i początku XX wieku.

Jedynie luksusy, które mnie dziś, z dalekiej perspektywy uderzają, to wielka ilość czasu, miejsca i służby. Wszyscy mieli czas, nie wypadało się spieszyć ani – tym bardziej – „być zagonionym”. Nie wypadało nawet mieć z góry narzuconych godzin obowiązujących do jakiegoś ślęczenia nad pracą. Nie wypadało żyć w ciasnocie ani nie mieć na każde zawołanie służącego, panny służącej i całego sztabu pokojowych.

Toteż pamiętam owe niekończące się rozmowy, w których należało brać udział – trwające od obiadu o pierwszej poprzez podwieczorek do kolacji, i potem, do jedenastej czy dwunastej w nocy. Ludzie przewijali się przez salon, żyli w salonie, znikali, żeby przejść do drugiego salonu czy do „bilardowego” lub do biblioteki. Dwie kanapy i fotel miały swoich stałych, zajmujących je gości czy domowników. Na Kurkowej Patyński anonsował czasami

kogoś nie całkiem swojego, częściej „swoi” wchodzili bez anonsowania czy pukania, jak do siebie, i zostawali całymi godzinami, co przyjmowano nieraz jako dopust Boży, gdy gość był nudziarzem.

Prababka Dzieduszycka z którąś z córek grała w halnę<sup>47</sup>, układała pasjansa lub dużego puzzle'a, złożonego z setek powycinanych w esy i floresy kawałeczków. Gdy zbliżała się godzina wizyty domowego lekarza, dra Greka, a ten się spóźniał, wpadała w zniecierpliwienie lub apatię, była bowiem nałogową morfinistką, i doktor ten przychodził jej robić zastrzyki codziennie.

Z tego też powodu najdziwniejsze miała godziny snu i posiłków. Raz kładła się do łóżka w południe, to znów o drugiej w nocy dzwoniła, żeby jej przynieść filiżankę barszczu, bulionu, czy ciepłego pasztecika. Wszystko to oczywiście musiało być zawsze gotowe, na każde zawołanie i o każdej porze.

Mawiano mi też nieraz, że odziedziczyłem po tej prababce dystrakcję, złe oczy i fantastykę owych godzin, które we dnie i w nocy pozwalają mi czuwać i spać, niezależnie od ruchów słońca na niebie.

Pani Włodzimierzowa dawała przed wojną wielkie bale i przyjęcia na Kurkowej, zrazu dla córek, później dla wnuczek. Moja matka opowiadała mi, jak raz rozesłano zaproszenia dla dwustu czy trzystu osób na duży bal. W wilię balu cała rodzina siedziała najspokojniej w salonie nad puzzle'm czy reversi<sup>48</sup>, gdy Patyński wszedł i oznajmił, że zjawił się pan X. Całe towarzystwo, zdziwione nieco tą wizytą o dziewiątej wieczorem spojrzało ku drzwiom, w których stanął X we fraku. Widocznie pomylił się co do daty balu – pomyśleli wszyscy. Zaledwie się jednak przywitał, wszedł Patyński, oświadczając, że zajechały cztery nowe osoby – i weszło dwóch panów we frakach i dwie panie w sukniach balowych. W salonie zapanowało lekkie zaniepokojenie. Przed drzwi zaczęły zajeżdżać powozy, jeden za drugim. Okazało się, że zaproszenia były mylnie wydrukowane, czy też, że moja prababka pomyliła datę, i nikt tego nie sprawdził. W ciągu trzydziestu minut zwały się setki zaproszonych. Panie poszły się kolejno przebierać, a Patyńskiemu oświadczono, że, wobec tego, bal z zasiadaną kolacją, muzyką i wszystkim co do tego należy musi być dzisiaj.

---

<sup>47</sup> Gra planszowa.

<sup>48</sup> Gra planszowa.



Co najciekawsze, że bal się odbył – była kolacja, muzyka i służba. Dom był tak zmontowany, że, przy pomocy kucharzy i bufetu z hotelu George’a, wszystko jako tako załatano.

Tych czasów na Kurkowej ja już nie pamiętam, ale jeszcze mi we wspomnieniu tkwią jakby z XVIII wieku pochodzące zwyczaje niedbalstwa, podporządkowania całego świata humorom jednej zmorfinizowanej staruszki i przekonania, że środkiem świata jest jednak ten dom ordynatowej, która za pośrednictwem czterech córek jest babką trzydziestu trzech wnuków i kolosalnej ilości prawników, wśród których my byliśmy najstarszymi.

Gdy w 1918 roku wybuchła tak zwana „wojna ukraińska”, Kurkowa znalazła się na linii frontu. W piwnicy były już tylko ziemniaki i buraki, toteż menu składało się na przemian z kartoflanki i buraków, oraz z barszczu i ziemniaków nazajutrz.

W dużym salonie szyby podziurawione były kulami, obok pocisk wpadł pomiędzy duże „potisze”<sup>49</sup> chińskie i przebił z piętra, tłukąc między innymi całą szafę niebieskich wazonów „Delft”. Mimo to w salonie pani Włodzimierzowa z moją babką Szembekową grały dalej w halnę – żeby się nie denerwować niepotrzebnie. Patyński otwierał drzwi na oścież, prosząc na kartoflankę i buraki, a gdy mój brat wszedł, umorusany, prosto z pancernego pociągu i oświadczył, że te panie muszą iść zaraz do piwnicy, prababunia fuknęła na niego, że w piwnicy nigdy nie była, więc i teraz tam nie pójdzie.

Istotą tak zwanych klas panujących jest przeświadczenie i głęboka, zupełnie naturalna wiara, że świat istnieje dla nich, a oni wobec niego spełniają nie zawsze zresztą łatwy obowiązek panowania. Póki taka wiara istnieje i póki istnieje równowaga pomiędzy prawami i obowiązkami, póty dany ustrój się trzyma i nikomu nie przychodzi do głowy go zmieniać. Wiara taka istnieje jednak dłużej niż społeczne i ekonomiczne warunki, które ją uzasadnić mogą. Wtedy nadchodzi okres typów, jakby z innego czasu przeniesionych. Mastodontów takich znałem dużo i dziś sam odczuwać zaczynam to nieuchronne prawo, gdy we wspomnieniach grzebię, a w sobie znaleźć nie mogę zrozumienia, które by mi pozwalało przyjmować otaczający mnie świat jako coś zwykłego i normalnego.

Przekonany bowiem jestem, że istotą każdej wydajnej pracy jest przyjmowanie tego, co nas otacza jako rzeczy zwykłej – tak, jak liście, które są zielone. Nie jest to sprawą oportunistyczną.

---

<sup>49</sup> Naczynia, misy.

Nawet walka z istniejącym porządkiem rzeczy musi wychodzić z założenia tego co jest, a nie tego co by się chciało, żeby było.

Klasa upadająca, ta którą pamiętam, tkwiła cała w fikcji, że nadal istnieje to, co w rzeczywistości było już anachronizmem. W Polsce anachronizmem tym była tak zwana „większa własność ziemska”.

Mój ojciec był fanatycznym jej zwolennikiem i dlatego w 1918 roku już same próby podkopania tej własności przez „reformę rolną” przejmowały go obrzydzeniem. Wierzył święcie, że świat ma być podzielony na posiadających i nieposiadających – wyciągał z tego konsekwencje w postaci tak zwanych obowiązków posiadającego – lecz nie dopuszczał nawet myśli, by ten stan rzeczy mógł się kiedykolwiek zasadniczo zmienić.

My czterej mieliśmy przede wszystkim zdać maturę i zrobić uniwersytet, po to, żeby nadal pod jakąkolwiek bądź formą „rządzić krajem” – co przyjmuję jako najogólniejszy termin należącej się nam pozycji socjalnej, a – o ile możliwości – materialnej też.

Ponieważ ojciec uważał się za bankruta na swoim 1500 hektarowym majątku, więc pracował z wielką energią nad utrzymaniem tego, co w spadku otrzymał.

Gdy nadszedł 1920 rok, zjechało do Wiśniowej mnóstwo uciekinierów ze wschodu. Pamiętam to lato, w którym goście ci nadal pili herbatę pod kasztanem, dziewczyny wiejskie gracowały ścieżki w ogrodzie, mój brat był na froncie, a wszystkie szopy i stajnie pełne były dobytku ludzi z Podola i Małopolski Wschodniej. O czym się mówiło? Bolszewicy podchodzili pod Lwów i Warszawę, a myśmy jeździli konno po polach, chodzili się kąpać do Wisłoka, podczas gdy służący Jan, chłopcy kredensowi, kucharz i cały sztab dziewczek do pomocy gotowali obiady i kolacje dla całej tej czeredy krewnych i znajomych, którzy zjeżdżali wozami, koczami i najróżniejszymi dryndami, za którymi ciągnęły się konie, krowy i ukochane psy, a w których tkwiły skrzynie z drobiem i paki, w których tkwiły empirowe kandelabry, zegary z kolumienkami, srebro i naczynia kuchenne.

Ja ciągle myślałem o rowach strzeleckich, które zasypywano pięć lat wcześniej po froncie, który się wtedy przewalił – oni zaś, starsi, „odczekiwali wojnę”, chociaż wiele było wśród nich osób z Ukrainy, gdzie przecież widzieli inne wypadki po swoich pałacach i dworach.

Przed naszym pałacem kwitły lewkonie i róże, wakacje w owym 1920 roku należały do specjalnie ruchliwych i miłych – ale dziś trudno mi zrozumieć, dlaczego tak mało było niepokoju o dalsze istnienie całego tego towarzystwa.

W owe lato przybyła do Wiśniowej pierwsza osoba, która pokazała mi wartości nut, kluczy i zasady harmonii. Miałem trzynaście lat. Grałem już „wszystko ze słuchu”, spędzałem każdą wolną chwilę przy fortepianie. Ktokolwiek ze starszych coś grał, zastawał mnie zasłuchanego ze wzrokiem wlepionym w ten magiczny dla mnie instrument, stary, odwieczny Érard, nakryty irchą, pokrytą bladym, zielonkawym haftem. Uczennica krakowskiego Instytutu Muzycznego, Maria Peterówna, późniejsza Kazimierzowa Wysocka dawała mi te pierwsze, tak spóźnione lekcje, gdy ja już pewny byłem, że tylko muzyce poświęcę życie.

Wrażliwość na dźwięki miałem tak gwałtowną, że każda gra, dotknięcie klawiszów, wpędzały mnie w rodzaj emocji, którą chyba tylko z jakimś transem porównać mogę. Może dlatego, że tak nieobeznany byłem z muzyką, wrażenia te tak były silne. Każdy utwór był dla mnie tajemniczym gąszczem, w którym modulacja, rytm, melodia działały na mnie jakby jakiś psychiczny alkohol. Gdy p. Peterówna grała pierwszą balladę Chopina, to oderwać mnie nie było można od nut i fortepianu, a później przepadałem w najgęstszych krzakach tarniny, żeby mnie nikt nie wyrywał ze stanu zachwyty i egzaltacji. Zachody słońca, szum wiatru, widok burzliwych chmur czy promień słońca na mokrych po deszczu gałęziach działały na mnie podobnie. Wzruszenia te przeżywałem w sposób, którego nie potrafię z precyzją określić. Objaw ludzkiej dobroci czy widok ludzkiego czy zwierzęcego cierpienia działał na mnie podobnie, jak rytm i melodia wierszy, zestawienie słów jak zestawienie dźwięków. Zresztą owo działanie poezji odbywało się bez szczególnego związku z jej treścią. Czytałem Słowackiego zanim pojąć mogłem cokolwiek ze znaczenia nieraz samych słów w wierszu użytych. Pochodziło to może stąd, że zanim mnie poczęły wzruszać pojęcia, działało coś innego, co mnie w prawdziwe transe wprowadzało. I tak działanie *Anhellego*, mazurka Chopina było podobne do wzruszeń na widok ścierniska z muzyką świerszczy sierpniowych.

Rozpalało to moją wyobraźnię i uczuciowość do gorączkowego wprost stanu. Sądzę, że wytłumaczenie tej wrażliwości daje jedynie termin „artysta”, i że istotą jego znaczenia jest właśnie specjalnie silne reagowanie na nastrój świata, chwili czy sytuacji. W tym sensie byłem od urodzenia piekielnie przewrażliwionym artystą i całe moje życie było walką z tą wrażliwością.

Życie każdego człowieka może być ujęte w historię zacierania jego wrażliwości dziecinnej. U artysty jednak musi to być także historia ratowania i operowania tej wrażliwości, której świeżość musi pozostać trwałą wartością, cechą i motorem jego zawodu, pracy i działalności. W tym sensie artysta nie może pozwolić sobie na wewnętrzną oschłość i rezygnację, będącą tak częstą cechą drogi życiowej ludzi oddanych innym zawodom. Artyście nie wolno przyzwyczaić się do życia, nie wolno rezygnować ze świeżości zachwytu, jakie daje zjawisko codzienne, manifestacja życia i świata. Dzieło sztuki rodzi się z zachwytu i zdziwienia tym światem i życiem. Kto jest do tego niezdolny lub kto tę zdolność zatracił, ten przestaje być artystą, przestaje być poetą, a bez poezji nie ma żadnej sztuki.

Rola aparatów kontrolnych, którą spełniają rozum, refleksja, systematyczność i wola – była u mnie zahamowana, o ile można zahamować coś, co prawie że nie istnieje. Jak dawno siebie pamiętam, pamiętam jedynie wrażenia, a fakty tylko o tyle, o ile były one powodem wrażeń i uczuć. Inne fakty nie miały się wprost mego umysłu, stąd też powstawały wprost nie do przewyciężenia trudności, gdy miałem się nauczyć czegoś, co się o moją wrażliwość objało bez jakiegokolwiek oddźwięku. Stąd zupełny brak wytrwałości w jakimkolwiek mechanicznym czy systematycznym ćwiczeniu. Stąd też i fatalna wiara w rolę i znaczenie natchnienia, ochoty, entuzjazmu, po którym reakcja daje tylko głębszy upadek w zupełną impotencję. Wszystkie te cechy znajduję w zupełnie czystym chemicznie składzie, gdy usiłuję przypomnieć sobie istotę, którą byłem w dzieciństwie.

Rola pierwszych lekcji muzyki z Marią Peterówną była duża, lecz, gdy dziś o tym myślę, to nie sądzę by można było wnioskować coś o talencie muzycznym. Można było jedynie mówić o niesłychanym zamiłowaniu, które, niestety, nie jest równoznaczne ze zdolnościami.

Porządek, który z wiadomości o nutach i harmonii powinien ogarniać wrażliwość muzyczną był u mnie szczególnego gatunku. Pierwsza ballada Chopina, którą Peterówna grała, odegrała większą rolę niż wiadomości o funkcjach dominanty, toniki i subdominanty. Grywałem wtedy sporo ze słuchu i improwizowałem całymi godzinami, nie będąc równocześnie w stanie przejść świadomie z jednej tonacji do drugiej, ani wytłumaczyć zjawiska najprostszej modulacji. Wszystko to robiłem instynktownie, wiedziony – nie wiem – jaką to wrażliwością ucha, zdolnością palców, czy wypadkową nuty, której następstwo niesie...

[tu tekst się urywa, brak dalszej części *Pamiętnika*]